

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie 5 marek (za odnośnie do domu dopłaca się 25 fenig. kwartalnie), z przesyłką pocztową kwartalnie 6 marek

OGŁOSZENIA: wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście 2 1/4 mark.; na 1 stronie okładki 1 mark. 50 fenig.; na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem 75 fenig.; na 3-ej stronie okładki 65 fenig. Kronika towarzyska, Nekrologi, Nadesłane po 1 mark. 90 fen. za wiersz. Marginesy: na 1-ej stronie 25 m., przy Nadesłanych 2) m.; na ostatniej stronie 17 m. 50 fenig. i wewnątrz 15 marek. Artykuły reklamowe 437 marek 50 fenigów za stronę.

Załączniki zwykłe po 25 marek od tysiąca.

Adres Redakcyi: WARSZAWA, SZPITALNA 12,
Administracyi: Krakowskie - Przedmieście 66.
FILIA W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłoszeń
„PROMIEN”, Piotrkowska No 81.

ŚWIAT

Rok XII. № 39 z dnia 29 września 1917.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Pod kierownictwem naczelnem Stefana Krzywoszewskiego.



Franc. Tow. Ubezpieczeń na Życie

„L'URBAINE”

Ułgi na wyp. niezł. do pracy

Filia dla Kr. P. Marszałk. 198

9967 Oddział miejski: ulica Moniuszki Nr. 2.

Biuro Kijowskie: Kijów, ulica Kraszczałik Nr. 48.

Wilno, róg Ś-to Jerskiej i Kazańskiej Nr. 9.

Wydawnictwo Tow. Akc.

S. ORGELBRANDA S-ów

Encyklopedia Handlowa

2 tomy

15028

Opr. Mk. 50.

Ograniczenia i konfiskaty.

Wyszły dwie małe książeczki, poświęcone badaniom nad formami i sposobami ucisku, jakiego Polska doznawała od rosyjskich rąk w czasie ich panowania nad nami. Badania takie nie były u nas nigdy rzadkami. Składają się one na olbrzymią literaturę, rozpoczętą wielkim krzykiem poezji w pieśniach rewolucyjnych Słowackiego i w „Dziadach” Mickiewicza, a będącą jedną z najstraszniejszych i najwymowniejszych skarg do Boga. Ale co dwie nowe książeczki wyróżnia z tej masy, krwią zaczerwienionej i Izami ociekłej, to ich wybitnie naukowy charakter. Są to studia, w których publicystyka, wszelka, o ile myśl do niej dociera, występuje w formie faktów bezspornych i cyfr urzędowych. P. Jakób Glass cytuje poprostu prawa rosyjskie („Ograniczenia ludności polskiej w zaborze rosyjskim”), p. Fr. Rawita-Gawroński wybiera poprostu nazwiska, morgi czy dziesięciny, ilości „dusz”, ruble i złote polskie („Konfiskata ziem polskiej przez Rosję po roku 1831 i 1863”).

Nie są to ani odruchy, ani gniewy, ani skargi, ani złorzeczenia. Ale właśnie to wypłukanie tekstów z subiektywnych materii czyni je nie mniej wymownymi od dźwięków naszej wielkiej poezji protestacyjnej a nieskończenie więcej istotnymi i użytecznymi od wydawnictw, grubym gatunkiem patriotyzmu nasyconych, jak „Czarna księga”.

Do rachunków dziejowych pomiędzy Polską a Rosją tylko takie dane, jak te, które nagromadzili pp. Gawroński i Glass, wchodzić będą.

*

Ograniczenia, jakim prawo rosyjskie poddawało Polaków w Królestwie Kongresowem, nie są nawet, jak na to p. Glass zwraca uwagę, zbyt liczne. Jeszcze większość ich posiada cząstkowy, a niektóre z nich drobniawy charakter. Ale na to, aby jakaś przemoc państwowa mogła gnębić pewną część ludności głównie za zezwoleniem prawa, musi być prawa w tem państwie jasne, ustalone i szanowane. W Rosji nie potrzeba było wielu praw wyjątkowych dla puszczania w ruch maszyny prześladowczej. Urzędnik miał na to pod ręką dość sposobów i środków w tym chaosie, jaki przedstawiało prawodawstwo rosyjskie, o którym samy ministrowie bardziej szczerzy mówili w publicznych dokumentach, że w Rosji „nikt nie wie dokładnie, co jest a co nie jest prawem”, co mu wolno a co zabroniono, gdzie leży granica pomiędzy dozwolonym a karygodnym.

— Prawnicy samy nie są najlepszymi w tym labiryncie przewodnikami, — mówi p. Glass, — nie tylko dla tego, że ogrom wciąż nowych a w nierozwikłalnej zwykłe z dawnymi pozostających sprzeczności przepi-

sów prawa stanowi obszar prawie że niemożliwy do ogarnięcia, ale przede wszystkim z powodu, że zapuszczanie się w owe wątpliwe prawne dziedziny, jako zgoła nie odpowiadające zamiarom rządu, nie całkiem jest bezpieczne.

Interesującym jest ustęp w pracy p. Glassa, pokazujący, jak u nas wikłano stosunki prawno-cywilne, gdzie kodeks francuski był od 1807 r. i nigdy nie przestał być obowiązującym, a tymczasem milczącym, w drodze prostych rozporządzeń odręcznych ministra t. zw. „sprawiedliwości”, rozciągano na Królestwo Polskie coraz to nowe części i tomy „swodu” praw, stanowiąc w ten sposób źródło ciągłych kolizyj z prawem miejscowym i łamiącówek dla prawników.

Nie mniej ciekawe są słowa p. Glassa, poświęcone uogólnieniu tego szczególnego i jedyne w swoim rodzaju systemu prawnego. W Rosji, jego zdaniem, bardzo dobrze zdawało sobie sprawę z tej nieokreśloności i chaotyczności praw.

I uczyniono z tego, z całą świadomością i perfidją — *instrumentum regni*.

Stan taki, utrzymujący mieszkańców w ciągłej niepewności i trwodze, jaknajbardziej jest owszem na rękę rządowi.

Trudno o bardziej szczerze w tym względzie wyznanie nad memoriał Paskiewicza, złożony Mikołajowi w 1847 r. Statut Organiczny, zdaniem jego, do zbytku kępował władzę rządową, zrodziła się przeto potrzeba władzy wyjątkowej poza obrębem form legalnych, którą namiestnik, według dosadnego określenia urzędowego historjografa, ks. Szczerbatowa, podnieść zdołał do godności skomplikowanego systemu „strachu i podniecenia”.

O takj stan dba nietylko wykonawca praw. Pomaga mu w tem gorliwie i sam prawodawca rosyjski. O-

to np. artykuł 69 Statutu Organicznego mieści w sobie taką nader elastyczny przepis: „Wszystkie dawniejsze prawa i ustawy, sprzeciwiające się przepisom statutu, kasują się“. Ale tu zaraz mamy dwie normy, a przez nie szeroko otwartą szosę do wszelkiego administracyjnego nadużycia. Co innego bowiem mówić tekst polski, co innego rosyjski, — oba wtedy urzędowe. Polski mówił o kasowaniu „praw i ustaw“, rosyjski o kasowaniu „ustaw i władz“.

Ten stan rosyjskiego jurydycznego barbarzyństwa p. Glass ilustruje pięcioma charakterystycznymi przykładami.

Ograniczeń samych w prawie cywilnym, jak wspomnieliśmy, nie jest wiele. Najcięższe z nich dotyczą kupna ziemi przez Polaków na Litwie i Rusi. Prawie że żadnego znaczenia natomiast nie mają prawa o małżeństwach mieszanych z 1836 r.; społeczeństwo polskie skutecznie się od nich obroniło, zrywając w konsekwencji wszelkie towarzyskie stosunki z Rosjanami. O innych nie będziemy mówić; niektóre z nich zresztą, dążące pozornie do uszczęśliwienia rosyjską ręką chłopca polskiego, dostatecznie są znane. Natomiast warto przytoczyć uwagę syntetyczną p. Glassa:

Ograniczeń samych nie jest wiele i nie należą one (poza ograniczeniami kupna ziemi) do kategorii szczególnie krzywdzących. Nad wyraz za to dotkliwą jest owa zatruta atmosfera chwiejności i braku legalności, jaką oddychaliśmy zawsze i wszędzie. Czuć, że jakaś niewidzialna siła zabija w nas stopniowo a systematycznie wszelkie poczucie prawa i sprawiedliwości i odbiera nam powoli wszelką chęć oporu. Mamy niewyraźne pojęcie, że możnaby się powołać na jakieś prawa, wszakże pisać o tem nie wolno, upominać się wobec smutnych przykładów nikt nie śmie i zahypnotyzowane rosyjskim systemem zastraszania społeczeństwo zapada powoli w stan sennego jakiegoś półdrętwienia.

Zdaje się, mówi p. Glass, zdaniem naszym, bardzo słusznym, że tu przedewszystkiem należy szukać istotnej przyczyny owego bezmyślnego entuzjazmu do Rosji i Rosjan, jaką ogarnęła ludność Królestwa w sierpniu 1914 r. z chwilą wybuchu wojny. Olsniony obietnicami wodza armji rosyjskiej ogół polski dał im się porwać, idąc po linii najmniejszego oporu.

Dzielo p. Rawity-Gawrońskiego mówi prawie wyłącznie cyframi.

Ale co to za wymowa!

Tę książeczkę możnaby nazwać „księgą ofiar“ — jedną z niezliczonych ksiąg takich. Autor oddawna zajmuje się specjalnie wschodnio-południową Polską i nową pracę poświęcił też trzem guberniom: Ukrainie, Podolu i Wołyniowi. Zestawił on konfiskaty w nich, wywołane przez represje po 1831 i po 1864 r. Jaka rozmaitość, no, i jaka obfitość liczb. Są tu magnaci, którzy tracą dziesiątkami tysięcy swoje „dusze“. Np. Potocki Aleksander — 18,380, Czartoryski Adam — 11,290, Branicki Ksawery — 17,500, Jabłonowski Stanisław płaci 400,618 rb., Sanguszek Roman — 225,000 rb., Radziwiłł Ludwik — 442,000 złp. Są i przeciętni obywatele, bogatsi, którym konfiskowano dusze tysiącami, ubożsi, którym odbierano je setkami. Ale nie brak i biednych ziemian, którym zabierano „dusze“ 10, 20, 30, a nieraz i 5, zapewne wszystko, co posiadali.

Statystyka represji po 1864 r. mniej ale jeszcze wiele odbiera Polakom gruntu pod nogami w tych guberniach. Ale staje się bardziej skomplikowana i różnorodna. Przewodzi jej nowa idea „wzmocnienia pierwiastku rosyjskiego“ — w kraju, gdzie Rosjan nigdy nie było, a tylko Polacy i Rusini. Osobna komisja mądry się nad tą sprawą. Ukaz 10 grudnia 1864 r., zabraniający kupna ziemi przez Polaków, jest pierwszym tej mądrości owocem. Rozkaz, aby *podjeźdźni* w ciągu dwóch lat sprzedali swoje grunta, ale tylko Rosjanom albo Niemcom, drugim.

P. Gawroński bierze też nowe dane do swych obliczeń. Ilość „dusze“ z rachunków znikają; inne rubryki

wstępują na ich miejsce: przestrzenie roli i lasu, każda osobno, dochód, cena według oszacowania właściciela i według oszacowania rządowego. Tu zachodzą wahania dość dziwne. Zaleski Marcin np. swoje cztery wsie wartościuje 81 t. rb., a rząd tylko 33 t.; natomiast Mogilnicki Witold za swą Peremirówkę liczy 2880 rb. (jeżeli to nie omyłka), a szacunek rządowy opiewa 9 t. rb.

W wyprowadzonych przez autora sumach ostatecznych, obliczanych umiejętnie, nasze straty tak się przedstawiają:

Po powstaniu listopadowym morgów 3,322,675, wartości 830,518,750 rubli.

Po powstaniu styczniowym morgów 383,761, wartości 95,917,750 rb.

Nierówne to sumy.

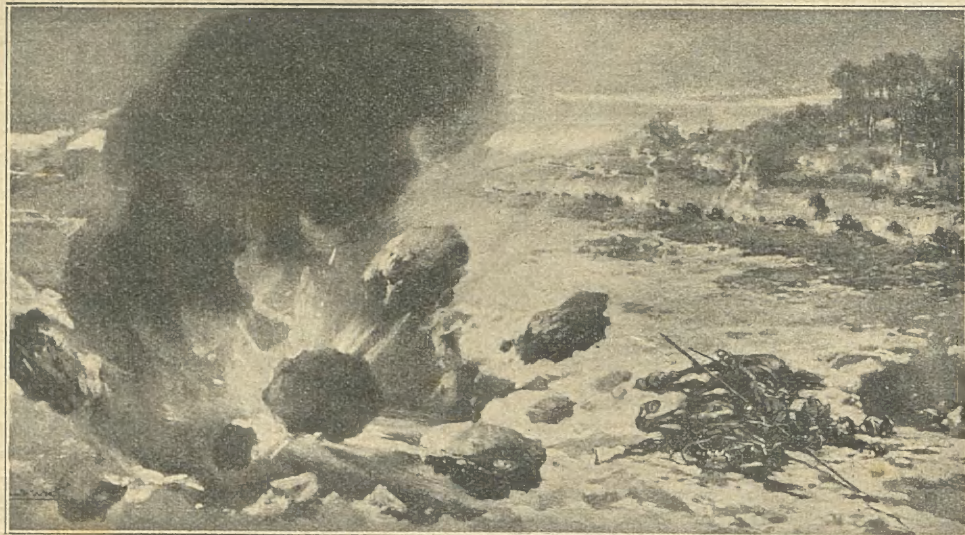
Autor tłumaczy te nierówności „silniejszą i głębszą ideą jedności i wspólnością państwową, jaką ożywiła kresowe społeczeństwo w 1831 r., a zaś większą ostrożnością jego w 1863 r.“

Na ogół jednak bardzo słusnie i pięknie mówi p. Gawroński, że „ogrom ofiar, budzący cześć dla obywateli kraju i dla ich pamięci, jest tak wielki, że żaden naród większymi poszczycić się nie może“.

Te ofiary magnacji polscy nieśli po 1831 r. odważnie. W 1863 r. to oni głównie właśnie zachowywali „ostrożność“. Inni, nowi ludzie występują na listach konfiskat i kontrybucji. Nazwiska te ciągle jeszcze szlacheckie, ale już nie te, które dawna Rzplita wyniosła na szczyty, lecz te, które otoczył dobrobyt, powstały z pracy i zabiegliwości własnej.

Alb. Pawłowski.

Na froncie zachodnim.



Wybuch wielkiego pocisku.

Wśród zaułków stolicy.

Warszawa, którą żyje przeciętny „inteligent“, stanowi zaledwie nieznaczny skrawek wielkiej rzeczywistości, zamkniętej w granicach naszych rogatek, gdzie w każdej chwili bije milion serc ożywionych siłą tylu sprzecznych uczuć i pragnień. To też jeśli jakaś sprawa przetruci nas na krańce miasta, czujemy się tam, jakby zabłąkani w obcym świecie, i oczekujemy niecierpliwie sposobności, któraby nas z powrotem zwróciła naszemu śródmieściu. Obywatele przedmieść i my, to dwa odrębne światy, zaledwie interesujące się sobą.

Tymczasem dla historii Warszawy w oczach wojny światowej losy przedmieść i rozlicznych jej zaułków są o tyle godne uwagi, że na tle ich rozgrywa się tragiczny moment naszego dramatu wojennego — walka mas z nędzą o życie. Tam zamieszkały poważne cierpienia nasze — tam codzień tworzy się sprawozdanie z dobroczynności publicznej naszej Stolicy.

Warszawa, stary i dumny weteran z dawnych wojen, który tylekroć cały naród wzywał pod broń i nowym pokoleniom o tylu czynach bohaterskich wspomina swymi murami, w czasie obecnej wojny ledwie

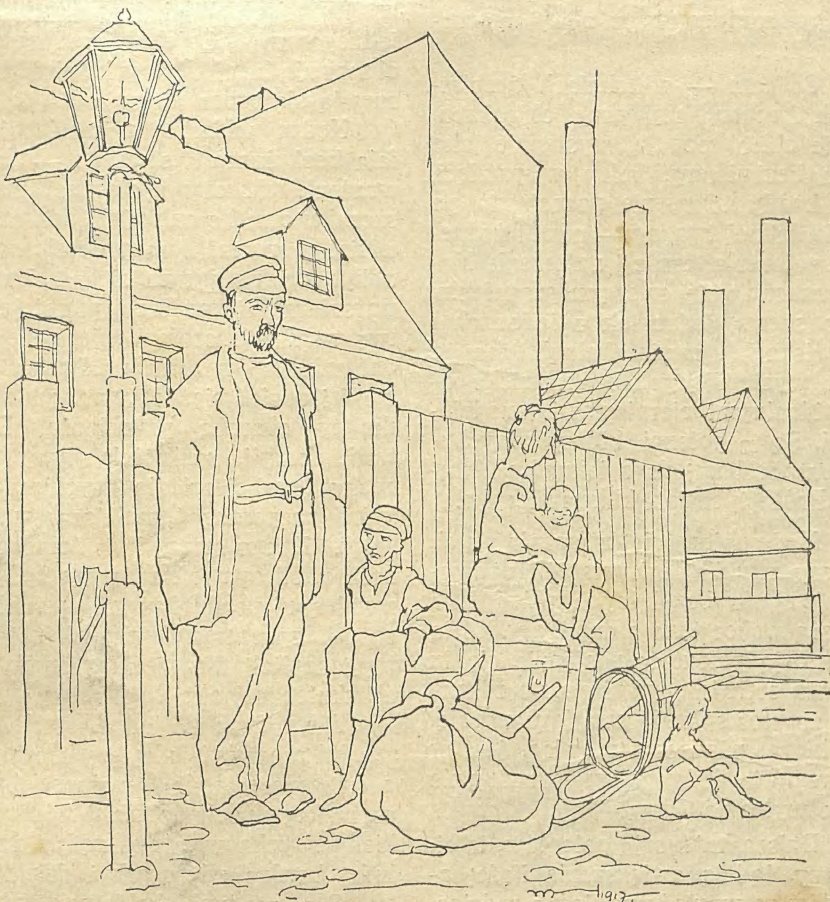
powąchał prochu. Granaty ciężkich dział tylko przeleciały nad naszym miastem, nie pozostawiając tych okropnych ran, jakimi pokryły się kresowe grody Polski, co to długie cza-

423
sy bywały na linii, przechodząc różne w boju koleje. Ale za to usadowiły się tu dwie okropne siostrzyce wojny, włóczące się zawsze za wielkimi armiami: głód i nędza.

Warszawa, która w czasie pokoju żyła wystawnie w swym pysznym śródmieściu, na swych krańcach pracowała ciężko i systematycznie. W



W lokalach bezpłatnych kuchni, tłum bezimienny...



Ale gdy z wybuchem wojny zamary warsztaty, w Warszawie wzrosła nędza...

dzień i w nocy zrywające się głosy syren, niby zwycięskie sygnały, świadczyły zawsze o jej dzielności i żywotności. Ale gdy z wybuchem wojny zamary warsztaty, w Warszawie wzrosła nędza.

Zorganizowano dobroczynność publiczną, o której wiele się pisze, choć zna się ją tylko ze słyszenia. A przecież wydaje się na nią miliony i to czerpane głównie z pożyczek. Warto się więc zastanowić, czy jest to wydatek produktywny, coś w rodzaju inwestycji dochodowej, czy też tylko wydatek konieczny, który społeczeństwu naszemu nigdy się już pod żadną postacią nie zwróci.

To ostatnie pytanie nasunęło mi się na myśl, gdy przypadkowo zwiedzałem biura Rady Opiekuńczej III Okręgu. Byłem tam kilkakrotnie, niestety zawsze tylko przez parę chwil, które w dodatku wypełniały rozmowy, dotyczące cyfr i norm rozdawnictwa obiadów, zapomóg i t.p. Te cyfry, okólniki, rozporządzenia, biurowa fachowość wypełniają wszystkie szafy, półki, fascykuly, a nawet atmosfere pięciu pokoi, przy ulicy Leszno 38, w których mieszczą się biura. Wy-

pełniają one rozmowy personelu i wystukują je maszyny. Wyznaczają wszystkim piórom zawiały i uciążliwą drogę, którą pracujący tu urzędnik przebywa codziennie o sześciu godzinach od 9 rano do 3 po południu. Wówczas dopiero na szarych arkuszach wyrastają pospiesznie ostatnie kropki i niebawem zamiera w lokalu życie.

Nietylko na głębokości pierwszego spojrzenia utrzymuje się tu obraz maszyny biurokratycznej, wprowadzającej w ruch gwarne i ciekawe życie naszych instytucji dobroczynnych.

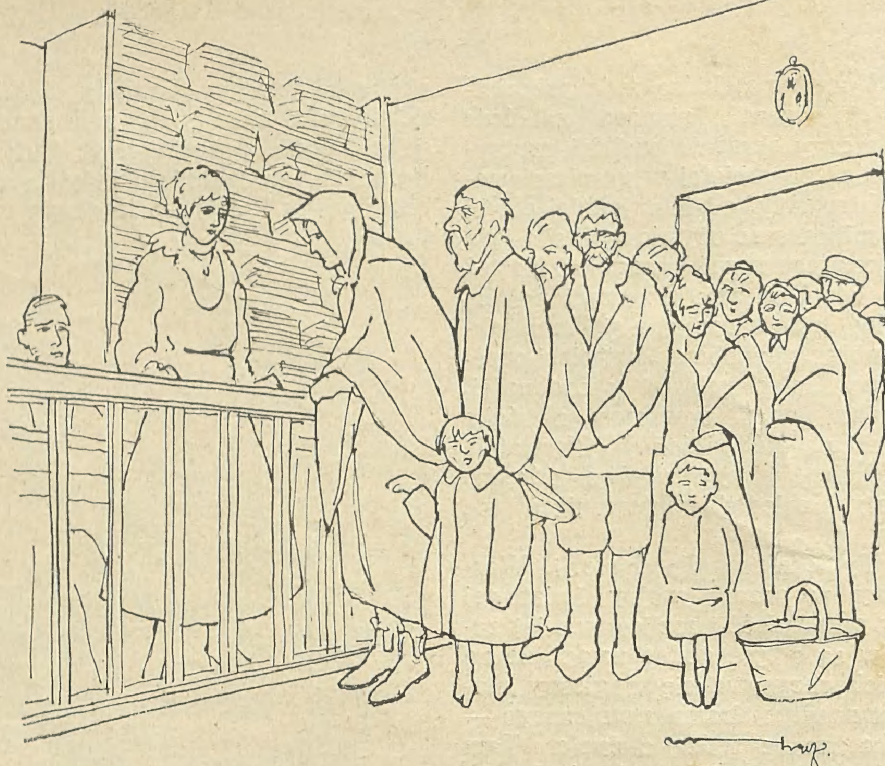
Dalsze, uważniejsze spojrzenia sięgają już w jej duszę, wypełnioną świadomością tego życia i jego skomplikowanych funkcji. Wówczas ważne znaczenie tego organu rzuca się niemal w oczy.

Wszak to małe, niepozorne biuro, którego cały personel liczy 15 osób, prowadzi stale rozdawnictwo obiadów dla 3,200 rodzin, t. j. 12,500 osób, wydaje tygodniowo 10,558 funtów czyli 54,250 porcji chleba, wydzielając zapomogi pieniężne najbardziej potrzebującym, prowadzi rozdawnictwo mleka dla dzieci, działa wiele w kierunku sanitarnym, opiekuje się żłobkiem, zarządza jedynym w mieście schronieniem dla bezdomnych pod nazwą „Pogotowie mieszkaniowe“, a równolegle z tem bada podania patentów i rozrzuca baczną kontrolę nad akcją rozdawniczą, by ratować grosz publiczny przed zachłannością spekulantów.

Powiedzieliśmy to jednym tchem, mimo że działalność biura zasługuje na obszerniejszą uwagę.



Bez trudu dostrzedz można i wyczuć tę uśpioną moc energii...



Nędza widziana w masie...

Godzina pierwsza.

Idzie jednak o coś ogólniejszego.

Godzina pierwsza w południe ma tu swe ciekawe życie. W granicach jej 60 minut można się tu spotkać twarzą w twarz z nędzą warszawską...

Co tam — w lokalach bezpłatnych kuchni, czy przy okienkach, gdzie chleb rozdają, występuje jako tłum bezimienny, który w pamięci, jak każdy tłum, nie pozostawia po sobie żadnej twarzy — nawet żadnego spojrzenia, teraz i na terenie biura przesuwa się, w swym pragnieniu, jako szereg jednostek o imionach i nazwiskach, zamieszkałych tam a tam, występujących konkretnie z indywidualnymi cierpieniami i nadziejami. Są to petenci, którzy przychodzą z prośbami do opiekunów Okręgu. Prośb tych jest kilka rodzajów.

Może najczęściej zgłaszają się ci, którzy zgubili legitymację, upoważniającą do bezpłatnych obiadów, i proszą wobec tego o duplikaty. Z tą kategorią patentów postępuje się tu bardzo ostrożnie, gdyż często zdarza się, że ktoś sprzeda swą legitymację, na które, nawiasem mówiąc, jest w Warszawie duży pokup, a następnie chce wyludzić drugą.

Dalszą kategorią patentów, to ci, którzy żądają zwiększenia ilości obiadów ze względu na liczną rodzinę, a wreszcie ludzie, którym odebrano

legitymacje. Powód odebrania jest prawie zawsze ten sam: sprzedawanie kartek handlarzom.

Czem jest nędza wojenna?

W tej chwili siedzę przy biurku jednego z p. Opiekunów Okręgu i obserwuję ludzi, którzy kolejno przesuwiają się przez biuro.

Nędza widziana w masie, jako fala bezimienna a straszna — czyni wrażenie choroby społecznej. Zwłaszcza w umyśle człowieka biorącego udział w normalnym procesie walki o byt, odbywającym się w biurach, warsztatach i handlach, powstaje łatwo myśl, że osobnik nie umiejący dać sobie na tyle rady z życiem, by zjeść i odziać się, to typ zwykle dotknięty chorobą psychiczną. Brak woli, energii, zanik inicjatywy, oto cechy tego cierpienia psychicznego, które nazywamy „mniejszą wartością“. Z tego stanowiska dobroczynność publiczna skazana by była na zupełną nieproduktywność i miałaby raczej znaczenie beznadziejnej terapii szpitali dla nieuleczalnych, niż skutecznej akcji.

Ale... Grau ist jede Theorie.

W rzeczywistości bowiem nędza a zwłaszcza nędza wojenna bywa rozmaitego pochodzenia. Wojna niekiedy spycha w odmęt nędzy nawet ludzi bardzo zdrowych i dzielnych.

Oto w tych kobietach ruchliwych, rozprawiających z ożywie-



Obecnie można ją widzieć codziennie na rogu jednej z ulic, otoczoną dużymi koszami kwiatów...

zdarzeń, świadczących wymownie o przypadkowym charakterze nędzy.

Oto najbardziej typowy:

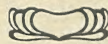
Bohaterką zdarzenia była pewna kobieta, którą przez dłuższy przeciąg czasu obserwowano włóczącą się po ulicach wraz z dziećmi i proszącą o wsparcie. Dzieci, wynędzniałe w sposób okropny, były istotnie pewnym środkiem wzbudzenia litości. Wreszcie aresztowano ją i poddano śledztwu, które ustaliło, że od dawna znajduje się w ostatecznej nędzy. Zajęto się przede wszystkim dziećmi, które umieszczono w „żłobku“, matce zaś udzielono kilkudziesięcio-markowej zapomogi na zapoczątkowanie ulicznego handlu kwiatami i owocami. Obecnie można ją widzieć codziennie na rogu jednej z ulic otoczoną dużymi koszami kwiatów. Dzięki powtórnej zapomodze, handel jej znacznie się powiększył i cieszy się liczną klientelą.

Jakżeż więc często nędza jest przejściowym objawem, wywołanym jedynie nieszczęsnymi okolicznościami.

Należy jednak pamiętać, że warunki bytu, które może ofiarować masom warszawska dobroczynność publiczna, wystarczają z trudem jedynie na nędzną wegetację.

Podobnych ofiar wtórnych objawów wojny, jakimi jest nędza, będziemy mieli bardzo wiele.

Feliks Przysiecki.



niem, mimo łez i skarg, jakimi argumentują każdą prośbę, mimo anemicznej cery i przygasłych oczu, odkrywasz odrazu do niedawna dzielne, zapobiegliwe i oszczędne gospodynie rodzin robotniczych.

Prawie każdy mężczyzna, który tu z rumieńcem szczerego wstydu zgłasza się po bezpłatny obiad — to do niedawna pracowity, silny, zakochany w wolności robotniczek warszawski. Bez trudu dostrzedz można i wyczuć tę uśpioną moc energii i siły, która drzemie w tych ludziach i którą w każdej chwili odzyskać można dla społeczeństwa z powrotem. Krótki, urwany krzyk za pracą, który obija się codziennie o mury tego biura, to hasło, po którym poznajemy zapomnianych współobywateli, ludzi takich samych, jak my, ożywionych zapałem do pracy i tylko przez brak jej strąconych chwilowo w ten olbrzymi odmet nędzy, który bije o brzegi całego świata wojennego. Wystarczy dobrze się przypatrzeć społeczeństwu, którego tysiączne zastępy żyją z dobroczynności, aby nabrać wjary, że wiele z tego potwornego splotu rąk, który wyciąga się codziennie w Warszawie po kwitek na obiad czy chleb, z nastaniem normalnych warunków rzuci się z powrotem do pracy. Kto patrzy w przyszłość i pojmuje, jakiego ogromu wysiłku wymagać będzie odbudowa kraju, ten oceni, że produktywność

dobroczynności warszawskiej będzie święcić swój zasłużony tryumf w uratowaniu sił roboczych dla kraju.

Pouczające historie.

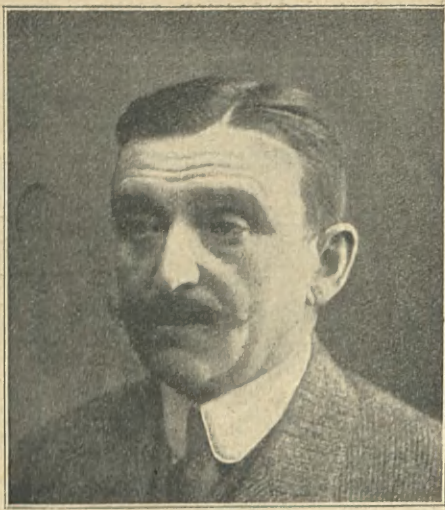
Jeden z opiekunów III Okręgu opowiedział mi szereg ciekawych

Najnowszego rodzaju „ogonek“ w Warszawie.



Fot. Maryan Fuks.

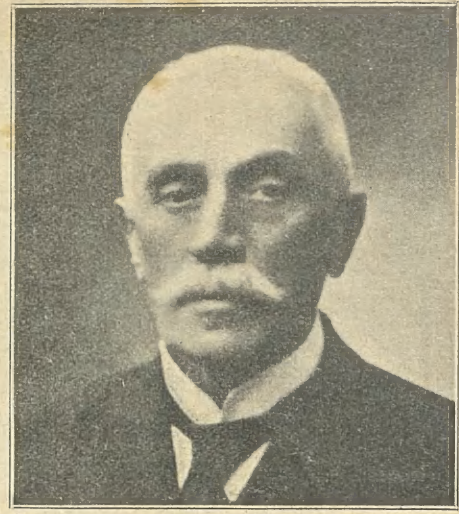
Po papierosy.



Książę Zdzisław Lubomirski.



Ks. Arcyb. Aleksander Kakowski.



Hrabia Józef Ostrowski.

Teatry warszawskie.

TEATR ROZMAITOŚCI. „Co może kobieta”, komedia w 3-ach aktach B. Coolusa.

Ostatnia nowość Teatru Rozmaitości jest jednym więcej z przykładów dorywczości zarówno w repertuarze tej sceny, jak i w sposobie realizacji repertuaru. Sztuka Coolusa należy do kategorii utworów średniej miary; jest wypracowaną zręcznością i z poczuciem efektów scenicznych, brak jej atoli wszelkiej oryginalności. Autor zgromadził na scenie pewną liczbę teatralnie ujętych figur, zwikłał je umiejętnie w konflikt o charakterze raczej zewnętrznym. Sam nie miał nic do powiedzenia i został w cieniu. Sztuki Coolusa nie możnaby odróżnić od tuzinów innych sztuk francuskich tego pokroju. Nie ma tam ani brutalnego rozmachu Bernsteina, ani pogłębienia Bataille'a, ani subtelnej psychologii Portoriche'a, ani czarującego dowcipu, skojarzonego z przemiłym sentymentem Caillavet'a i de Flersa, ani pogodnego sceptycyzmu Capusa'a. Jest to sumienny produkt fabryczny, z porządną marką, bez śladu indywidualnego artyzmu.

Osią sztuki jest jeszcze jeden „demon ziemi”, jeszcze jedna „kobieta fatalna”, która tegoż żołnierza czyni mazgajowatym szaleńcem, uczonego lekarza odrywa od żony i pracy, sprowadza na kraj przepaści. Czy oficer wyleczy się ze swej namiętności, nie wiemy. Uczonego ratuje zasnęta i uczciwa żona; dość szczęśliwie autor uczynił ją bezdzietną, inaczej bowiem wykolejonemu eskulapowi groziłoby z pewnością w chwili przelomowej kwilenie ukocha-

nego dziecięcia. Piętą Achillesową sztuki jest wszakże okoliczność, że autor omieszkiał przekonać nas o szatańskim uroku paryskiej lwicy. Zuzanna Sormain jest tak banalną *mondaine'ą*, iż niepodobna pojąć czar, jaki wywiera, mimo iż odtwarza ją artystka tak piękna i powabna, jak panna Szyllinżanka. Góruje ona nad otoczeniem urodą i toaletami. Pierwsza lepsza kokota posiadałaby tę samą wyższość. I dlatego dramat dwóch nieszczęśliwych Celadonów nikogo nie wzrusza. Na scenie warszawskiej wynikło nawet przykre nieporozumienie. Publiczność w tragicznych momentach wybuchała śmiechem. Było to zapewne w niewielkiej części winą złej inscenizacji i przejawionej gry. Przyczynił się jednak znacznie do tego sam autor.

Role uczonego lekarza i oficera grali pp. Jusosza i Roland, cnotliwą żoną była p. Ordon-Sosnowska. W epizodycznych rolach pojawiło się na scenie sporo pań i panów, usiłujących, bez najmniejszego powodzenia, stworzyć wykwiśnięty salon paryski.

*

Jaki był cel wystawiania tego rodzaju *cudzoziemskiej* sztuki? Pობłażliwość dla twórczości rodzimej jest rzeczą zrozumiałą. Publiczność i krytyka inną miarę stosuje w tym wypadku. Jeśli przecież chodzi o utwory obce, wyborem winna kierować albo poważniejsza wartość literacka, lub też mistrzostwo techniki scenicznej. Sztuki cudzoziemskie, nie posiadające ani jednej, ani drugiej zalety, nie powinny znajdować dostępu na pierwszą scenę polską.

Jeśli jednak już postanowiono taką właśnie sztukę wystawić, należało uczynić wszystko, aby zapewnić

jej powodzenie. Tymczasem obecnemu kierownictwu Teatru Rozmaitości wydaje się widocznie, że dość jest powierzyć główne role pierwszorzędnym artystom, dość umeblować mniej lub więcej tandetnie scenę, by zadanie zostało spełnione. Tymczasem w teatrze jest jeszcze inny czynnik pierwszorzędnej wagi: reżyserja. Sztuka reżyserska wszakże nie polega tylko na t. zw. układzie sytuacji. Wymaga przede wszystkim od tego, który ją sprawuje, by doskonale zdołał sobie sprawę z środowiska, które zamierza na scenie odtworzyć, — by zrozumiał i odczuł głęboko psychikę każdej roli, by, jak kapelmistrz w orkiestrze poszczególnych wirtuozów, tak samo jak pośledniejszych muzykantów, związał w organiczną całość, harmonijną i pełną.

Gdy tego brakuje, nie wystarczą najprzedniejsze talenty. Między sceną a widownią muszą powstać nieporozumienia, jak się zdarzyło w ubiegłą sobotę.

Trzeba te gorzkie słowa powiedzieć dla dobra samego teatru. Byłby to wielki błąd, gdyby ze względu na wyjątkowe okoliczności stale ukrywać prawdę. Teatr Rozmaitości jest nam wszystkim zbyt drogi, byśmy obojętnie patrzyli, gdy się w nim dzieje źle. Posiada przytem bardzo wiele warunków po temu, by działało się w nim dobrze, by istotnie był „pierwszą sceną polską”. Życzliwym jest nie ten, co kłamliwe pochlebstwa wypisuje, lecz ten, co w porę przestrzedz ma odwagę.

Oba dramatyczne teatry miejskie, Rozmaitości i Letni, znalazły się w okresie niebezpiecznym. Przy najbliższej sposobności rozważymy obszerniej ich obecne stosunki.

S. K.

TEATR MAŁY. „Czwórka“, wiedeńska satyra obyczajowa w 3 aktach J. Geyera i P. Franka.

Sąd Najwyższy Królestwa Polskiego.

Wiedeńska spółka komediowa okazała się przysłowiową. Na oko może i jest w tej satyrze jakiś kolor, budzący odrazę do tego rodzaju ekstrawagancji obyczajowych, ale artystycznie „Czwórka“ jest rzeczą zupełnie chybioną. Jeszcze w akcie pierwszym pieni się trochę ciężkie piwo wiedeńskie, ale w drugim i trzecim musują tylko męty...

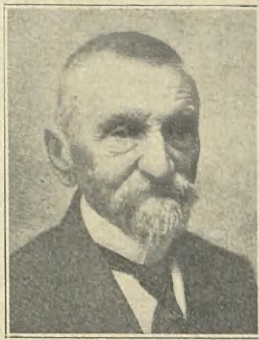
Ciekawe, czemu zawdzięcza ta sztuka, że znalazła się na repertuarze Teatru Małego? Bo przecież nie dla wartości literackiej, ani też dla jakiejś roli... Bohaterka bowiem jest narysowana blade i nie należy do typów, któreby mogły wywoływać na widowni sympatie.

P. Mery, bohaterka owej „czwórki“, rozwiodła się z mężem dla... rozwodu. Zdradzała go, jak zdradzać będzie nowego adoratora, wreszcie nie wystarczy jej i ten drugi, poszuka sobie i trzeciego, choć i ten delikwent nie zadowoli srogiej niewiasty. Znajdzie się miejsce na czwartego. P. Mery otoczy się tą girlandą mężczyzn: będzie mogła współżyć z różnymi typami. Małżonek jej jest uczonej, drugi jegomość trudni się adwokatura, trzeci jest fechtmistrem, a na przyczepkę znajdzie się jeszcze młody kadet.

Jednym słowem, wszelkie rodzaje broni umie zatrudnić piękna pani Mery. Brak jeszcze lekarza, szewca i ministra—ale te zawody zachował zapewne autor na przyszłość dla swojej bohaterki.

Czy w tym tańcu miłości i głupoty znajduje się choć odrobina obserwacji, humoru, wreszcie majsterstwa w robocie scenicznej? Odpowiada na to najlepiej znużenie publiczności, która mimo doskonałej gry p. Mrozińskiej nie może oswoić się z tą wiedeńską, przysłowiową tandetą. Dobrym mężem był p. Buszyński. Młodego kadeta zgrabnie pochwylił p. Ratowski.

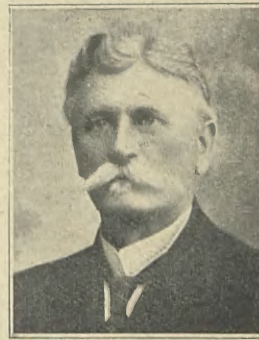
E. C.



STANISŁAW SRZEDNICKI, prezes Sądu Najwyższego Król. Polskiego.

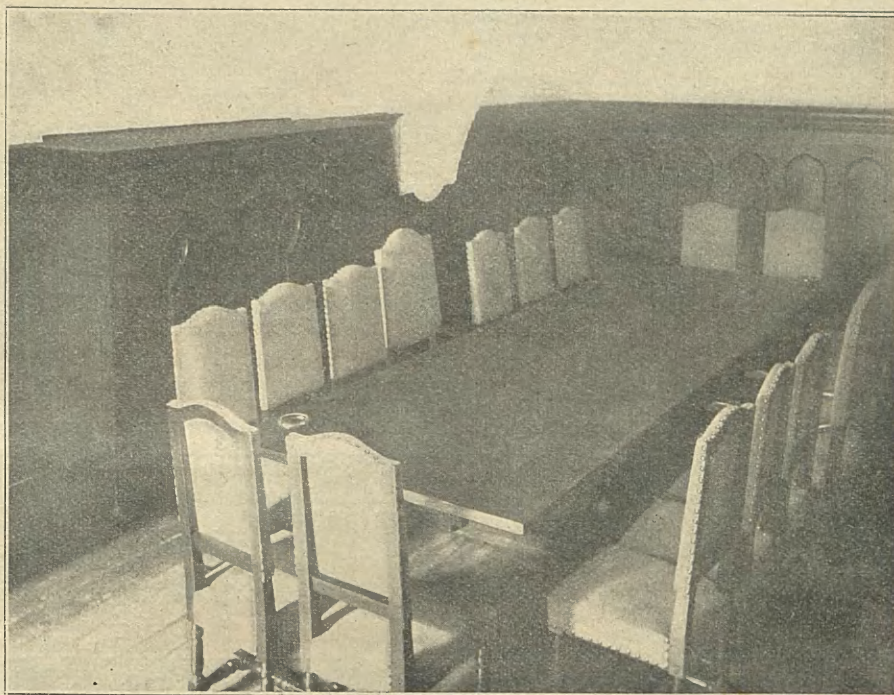


JAN JAKÓB LITAUER, sędzia Sądu Najwyższego Królestwa Polskiego.



ANTONI ŻYDOK, sędzia Sądu Najwyższego Królestwa Polskiego.

W kamienicy Baryczków na Starem Mieście.



Sala Posiedzeń Tow. Opieki nad Zabytkami, którą ofiarował Kamienicy Baryczków Zdzisław Szczerbiński, znany przemysłowiec warszawski. Serdeczne podziękowanie w imieniu Tow. złożył prezes Ed. hr. Krasieński, wręczając p. Szczerbińskiemu dyplom na członka założyciela.

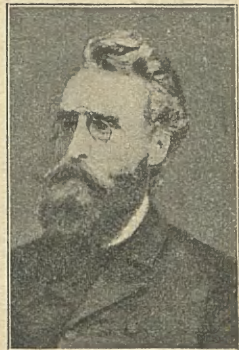
Fot. Maryan Fuks.

Na widowni -- z tygodnia.

Dr. Herman Seinfeld,



Gen. PAINLEVÉ, nowy prezes ministrów francuskich.



Dr. BASANOWICZ, który został prezesem litewskiej Rady Stanu.



Gen. KORNIŁOW, któremu nie udał się zamach stanu przeciw Kierenskiemu.

znany i ceniony adwokat krakowski, zmarł 18 sierpnia r. b., osierocając żonę, z domu p. Glass z Warszawy, oraz dwoje dzieci. Wśród szero- kich kół społeczeństwa polskiego cieszył się wielkiem uznaniem i szacunkiem. Zdzia- łał wiele na po- lu filantropji i pracy społecznej.





Posiedzenie uczestników Zjazdu w Sali T. Rady stanu pod przewodn. dyr. depart. oświaty prof. Mikułowski-Pomorskiego, szefa sekcji szkolnictwa element., prof. Z. Gąsiorowski i głównego inspektora Krajowego T. Łopuszańskiego

Fot. M. Fuks.



Tungsramp
najtrwalsze lampki oszczędnościowe.

10316

Istniejące od 1805 roku

Zakłady Ogrodnicze

C. ULRICH

WARSZAWA, CEGLANA № 11

zawiadamiają, że wyszedł z druku

Cennik drzew i krzewów owocowych i ozdobnych na rok 1917/18

10381

i na żądanie rozsyłany jest **bezpłatnie.**

PRACOWNIA BIELIZNY I HAFTU oraz SZKOŁA KROJU I SZYCIA

p. f. H. ZBRANIECKA

Warszawa, Krak. - Przedmieście № 6.

Przyjmuje uczennice od 1 września.

10356

S. Celichowski

Szkółki drzew owocowych i parkowych w Podębju pod Skierniewicami

Plany i zakładanie parków i sadów

Adres dla listów Skierniewice (Skrzynka pocztowa)

lub Warszawa, Nowogrodzka № 60.

10388



MAGAZYN UBIORÓW MĘSKICH

Wacława Perendyka

WARSZAWA, SENATORSKA № 8.

dawniej: SZWALBE, ŠACH i S-KA

poleca

10369

Nowe fasony pał na sezon bieżący oraz BURKI PODRÓŻNE.



ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok IX.

Warszawa, dnia 29 września 1917 roku.

№ 39.

Prasa i cenzura w Warszawie przed wiekiem.

Wiele interesujących i cennych szczegółów do dziejów Warszawy i Królestwa Kongresowego zawiera „Dziennik” Tymoteusza Lipińskiego, współautora „Starożytnej Polski”, gorliwego badacza pamiątek i zabytków narodowych (1797—1856). Przed trzydziestu laty wydał go był w Krakowie Kazimierz Bartoszewicz; do Królestwa cenzura rosyjska wydawnictwa nie dopuściła, a w Galicji samej tak szybko się rozszedł, że oddawna już jest zupełnie wyczerpany. Ponieważ nawet nie wszystkie większe biblioteki go posiadają, przeto stanowi on materiał i dla badaczy zawodowych nieznany. Z „Dziennika” tego streszczamy niektóre ustępy, omawiające stosunki cenzuralne w Warszawie w r. 1827, a więc niemal przed wiekiem.

Były one nieznośne. W ks. Konstanty krępował nie tylko drukowane, ale nawet żywe słowo. Szpiegowie jego weszli wszędzie, trzeba było z każdym wyrazem się rachować nawet na poufnych zebraniach towarzyskich. W połowie stycznia np. wyżej wspomnianego roku powołano do ratusza sześciu młodzieży. „Oświadczają tam wiceprezydent Lubowidzki, jakoby dnia wczorajszego na billarze śpiewali pieśni, wymierzone przeciw religii i rządowi. Naprawdę zaklinali się, iż tego nie czynili. Po czym stawieni zostali w Belwederze. Strofował ich w książkę i kazał sobie powtarzać ich piosenki, na co oni również odpowiedzieli, że o niczem nie wiedzą. Po sześciu dniach aresztu wypuszczeni zostali”.

W kilka dni potem policja z wyższego polecenia zażądała od Towarzystwa Przyjaciół Nauk wydania jej dwóch ostatnich tomów dzieł Staszica, w których był umieszczony poemat p. t. „Ludzkoród”. „Nieboszczyk (Staszic), wydrukowawszy 130 egzemplarzy w wielkim formacie wszystkich pism swoich, złożył z tego 110 egzemplarzy w bibliotece Towarzystwa. Po jego zgonie, owego „Ludzkoroda” kazało Towarzystwo złożyć do lochu, aby ten dziwaczny utwór nikomu nie był znany, a tem samem nie ubliżał pamięci autora. Zdarzyło mi się oglądać ten potwór literatury, pisany wierszem nowego układu autora: wyrażenia najdziwniejsze, myśli zawikłane, słowem, że dwóch kart nie sposób było czytać ciągle. Jak słyszałem, miało to być dzieło filozoficzne i nie bez zalet, szkoda tylko, że nieszczęśliwym rymem napisane. Autor mawiał: „Za sto lat dopiero praca moja czytana i rozumiana będzie”. Doniesiono w księciu, że „dzieło bezbożne i przeciwko rządowi posiada i ukrywa Towarzystwo”. Zabrano i opieczętowano tedy wszystkie jego egzemplarze”.

Mówi tu Lipiński o olbrzymim poemacie Staszica p. t. „Ród ludzki”, z treścią historyczno-filozoficzną w duchu wieku oświecenia, pisany wierszem białym. Niema w nim poezji, ale jest wiele myśli niepowszednich, których szpiegostwo zrozumieć nie mogło.

O prasie warszawskiej tak pisze Lipiński:

„W tym roku wychodzą tu: „Dziennik Warszawski”, pod redakcją Ordyńca, bibliotekarza ordynata Zamoyskiego — raz na miesiąc. „Biblioteka Polska” — redaktor Fr. Salezy Dmochowski; według prospectów wychodziła dwa razy na miesiąc, lecz od niejakiego czasu ukazuje się jeden numer co dwa miesiące. „Chwila Spoczynku”, trzy razy na miesiąc; wydawcami są podoficerowie ze Szkoły Podchorążych pieszych, między nimi: Żaba, Godebski i inni, oraz b. akademik Meyzer. „Dziennik Podróży lądowych i morskich” — raz na miesiąc; wydawcami są redaktorowie „Gazety Polskiej”. Najpożyteczniejsze, najregularniejsze i najlepsze w swoim rodzaju jest czasopismo „Rozrywkę dla dzieci”; wydaje je panna Klementyna Tańska.

Na gazetach nam nie zbywa, lubo dla ostrej cenzury mało wiemy, co się dzieje na świecie. Wychodzą, jak i lat przeszłych: „Gazeta Korespondenta Warszawskiego”, „Gazeta Warszawska”, „Kurjer Warszawski”, „Monitor Warszawski”, „Gazeta Polska”. Ta ostatnia, od 1 grudnia wychodząca, wiele hałasu narobiła, a nawet i wojnę redaktorską zrodziła, bo ogłosiła, że codziennie wychodzić będzie, i że za mniejszą opłatą dawać będzie więcej od innych wiadomości handlowych, gospodarskich, literackich i t. d. Wydawcy innych gazet, dla utrzymania współbiegania, ogłosili matychmiast, że i oni bez podwyższenia ceny codziennie pismo wydawać będą. „Kurjer” nawet i we środy (w ten tylko dzień nie wychodził) musiał w ruchu zostać. Czy dlatego, że to nowość, czy też istotnie więcej jest zajmujące pismo, słowem, że owa „Gazeta Polska” wielką ma wziętość. Wydawcami są: Michał

Gąbka, Ksawery Bronikowski, Michał Dębiński i inni.

Zjawiły się też dwa pisma niemieckie: „Polnische Miscellen“; miało ono oznajmiać Niemców z literaturą polską; jakoż były tłumaczenia, ale niegodziwe, z kilku naszych poetów; wyszły 3 poszyty i na tem koniec. Również dla braku prenumeratorów przestała wychodzić gazeta „Warschauer Abendblatt“; ukazywała się dwa razy na tydzień.

W maju urząd municypalny wezwwał wszystkich redaktorów gazet i oświadczył im, że jeżeli odbiorą pocztą kaliską recenzję romansu Tarły p. t. „Wierusz“, aby onej nie považyli się drukować, lecz natychmiast złożyli ją w ratuszu. Jakoż w parę dni potem redakcja „Gazety Polskiej“, odebrawszy ów artykuł, natychmiast go w urzędzie wskazanym złożyła. „Cóż z tego wnosić?“ — zapytuje Lipiński i objaśnia: „Może pismo pomienione było jaćdem złości zaprawione na jakiegoś urzędnika, albo, że było rozwiązłe, gorszące, przeciwko duchowieństwu lub rządowi wymierzone? Nic z tego wszystkiego. Dość, że je pisał były poseł Niemojowski. Stojący u niego ciągle oficer od żandar mów, który ma baczenie na jego postępkę i jako drugi anioł stróż krok w krok dybie za nim, musiał donieść o tem wyższej władzy. Cenzura bowiem nie pozwala wspomniania i umieszczania w piśmiach publicznych imienia Niemojowskiego w prostych nawet ogłoszeniach o sprzedaży. Oto dowód: Niedawno tenże Niemojowski ogłosił, iż sprzedaje owce merynosy. Ktoby pomyślał, że i to nie przejdzie przez szpary cenzury? Dawała ona za powód, iż nie wie, czy Niemojowską w istocie posiada merynosy. Dopiero za poświadczeniem Komisji Spraw Wewnętrznych przeszedł ten „liberalny“ artykuł!“

Dalej Lipiński jeszcze komiczniejszy opowiada epizod.

Oto „Gazeta Polska“ umieściła wiadomość taką: „Odbyła się w Nowej Prądze koronacja, ale nie cesarza ani króla, lecz po skończonej komedji wystąpiła panna N. i uwieńczyła wieńcem głowę autora N. N.“

„Rzecz podziwienią godna — pisze Lipiński — iż cenzura, która każde słówko cedzi i mierzy na szali swego głębokiego rozsądku, puściła ten artykuł! Naturalnie wypływa, że w podobnego rodzaju wykroczeniach cenzor odpowiedzialny być powinien — tu inaczej się stało: cenzorowi uszło na sucho, natomiast redaktor 4 doby siedział w kozie. Przy-

wołany do Belwederu, szczęśliwym trafem zastał w. księcia w dobrym humorze. Audjencja w ten sposób co do joty się odbyła:

W. książę, zastawszy winowajcę w przedpokoju, rzekł po polsku:

— Proszę waćpana z sobą!

Przeszedłszy przez pokój, kazał mu się zatrzymać, udał się do obocznego apartamentu, i wnet wróciwszy z gazetą w rękę, wskazuje mu palcem ów artykuł, tuż pod oczy przysuwając. Poczem rzekł:

— Jak waćpan mogłeś to umieścić?

Na pokorne przyznanie się do winy redaktora, ozwał się w. książę:

— Waćpan jesteś warjat, wy wszyscy, redaktorowie, jesteście warjaci! A waćpan największy warjat, bo żadna inna gazeta tutejsza tego nie umieściła. Skąd ten artykuł wzięty?

— Z berlińskiej gazety Vossa — odparł redaktor.

— No, to pójdziesz waćpan za to do kozy, a teraz upadam do nóg.

W. książę odszedł, a redaktor był szczęśliwy, że się na tem skończyło.

Nie sposób przypuścić, żeby w. książę czytał od deski do deski codzień wychodzące pięć gazet tutejszych; muszą być tedy gorliwcy, co chwytają za słówko, znaczą każde wyrażenie i t. p. Redaktor „Kurjera“ siedział za to w kozie, iż ogłosił doniesienie pewnego fabrykanta, jako „dostanie u niego guzików wojskowych i liberyjnych“.

W lipcu ukazał się pierwszy numer zapowiedzianego „Śmieszka“. Lipiński surowo to pismo ocenia:

„Jakiż zawód dla czytających! Zamiast śmiać się, ubolewaliśmy nad płaskimi dowcipami. Jest to marna parodia „Momusa“ Żółkowskiego. Wydawcą jest p. Jankowski, którego żona występuje w rolach komicznych, i chyba na tej zasadzie umyślił wydawać to pisemko, gdyż sam jest tetryk i wcale nie dowcipny“.

Nieco dalej znów żali się na cenzurę Lipiński:

„Wielebna cenzura coraz więcej żelazną swą dłońią gnębi redaktorów i publiczność; nieznosniejszą się staje. Zgroza bierze czytać przekreślone przez nią miejsca. Warto troskliwie zbierać podobne numera i zachować do odczytywania w następnych, może łaskawszych czasach. Są takie miejsca, przez nią wzbronione, nad któremi zastanawiając się rozważnie, nie sposób dociec — dla czego i jaki miała w tem powód nie przepuścić?! Widziałem egzemplarz „Gazety Polskiej“, gdzie donosząc o zgonie czciwego Surowieckiego, radcy Komisji Oświecenia, wyrażono: „cnotliwy obywatel“. Nie podobało się to cenzorowi Lubkowskiemu, przemazał *cnotliwy*, a napisał natomiast *dobry*! To już wyraźne nadużycie. W tych dniach zatrzymano na poczoie i nie wydano żadnych gazet zagranicznych. Nie wolno jest brać z poczty nawet niemieckiej „Gazety Handlowej“, dopóki przez ręce cenzora nie przejdzie, chociaż pismo to jedynie donosi o targach zbożowych i innych produktach... *O tempora!!*“

Poprzestajemy tymczasem na przytoczonych danych, dosadnie charakteryzujących ówczesne warunki cenzuralne.

M. Synoradzki.

Alfred Konar.

POWIEŚĆ.

KARYERY.

47

I księżna tryumfowała. Teraz dopiero zaczął należeć do niej. Przekonała się, że była mędrszą, niż jej się samej zdawało; że brudny postronek przymocowywa lepiej, niż jasna nitka jedwabiu. Wódka jest silniejszą od szlachetnego wina; a haut gout trującej frytury garkuchnianej — smakuje nieraz lepiej od posiłnego rosółu, który posiadał przecież i we własnym domu pod opieką miłej, dobrej i młodej żony.

Teraz jej pasją stało się pragnienie ofiar z jego strony, składanych u

jej stóp za wszystkie ofiary, które i ona jego miłości poświęciła. Wiedziała, że w życiu tego statecznego człowieka był kult ładu, którym żył wyłącznie prawie aż do jesieni swego życia.

Na to poświęcenie stanowiska, kariery właśnie księżna czyhała, jakby spragniona jego dobrej opinii i demaskowania tego lodu, którym pokrywał żar zrodzonej tak późno namiętności.

Illekróć dostrzegła w jego dzienniku jakieś ważne zajęcie, wi-

829

zycie u chorych, konsultację — przedłużała z premedytacją schadzki, a by zaniedbywał praktykę, aby lekce-
wał szpital, godziny porad lekarskich i pacjentów.

Pani Zosia, przyzwyczajona już do jego coraz częstszych spóźnień na śniadanie, na wieczorny obiad i na godziny wyznaczone chorym, niecierpliwym się w jego poczekalni — denerwowała się dziś wyjątkowo opóźnieniem męża. Wreszcie z dwugodzinną zwłoką przybył o 4-ej na śniadanie, przy którym z musu asystowała także pani Polewska, zaproszona na filiżankę herbaty.

— To dziwne! — nie mogła się powstrzymać od sarkazmu belmery pani Polewska — aby człowiek tak stateczny, jak Henryk, nie potrafił zorganizować sobie ładu życia. Przecież to jest nawet wbrew higienie — nie mieć określonych godzin śniadania i obiadu. I nie dziwię się wcale, że Henryk zaledwie dotyka podawanych potraw.

Henryk zagryzł wargi wobec uwagi, tem dotkliwszej, że była słuszną. Nic dziwnego, że poznano się na symulacji jego jedzenia, które przez gardło mu nie przechodziło, ponieważ był już po śniadaniu, na które zatrzymała go gwałtem księżna Irena.

Nie chciało mu się ani odcinać belmerze, ani usprawiedliwiać. I był bardzo wdzięcznym za obronę Zosi, która w wyjątkowym rozpromienieniu szezebiotała:

— Mamusiu, Praktyka lekarska — to nie są godziny biurowe. Ludzie nie rodzą się, nie chorują i nie umierają w określonych godzinach na zawołanie!

I powróciła wnet do myśli, — które całkowicie dziś nią owładnęły. Ewenement w jej szarem życiu nie-lada. Rzecz tyczyła się owego spaceru w Łazienkach. Z ogromnem przejęciem rozpowiadała teraz o grożącej im burzy; wreszcie zaczerwieniona po białka oczu — wykrztusiła o spotkaniu Romka, któremu zawiadziły dorożkę.

— Romek? — zmarszczył mimowolnie brw Hórski, który zapomniał o jego istnieniu.

Zosia jednym tchem, po pensjonarsku recytowała wszystkie szczegóły spotkania; przytaczała wszystkie argumenty, któremi przekonywała Romka, a które miały też jednocześnie skłaniać do koniecznej rodzinnej zgody i starszego brata.

Hórski, zmęczony pozadomowym tajemnym życiem — tutaj, jak statek po burzach oceanu, przybyły do przystani — pragnął w swoim zmę-

czeniu jedynie spokoju. I pełen wim względem żony — gotowy był spełnić wszystkie jej drobne żądania, które uważał w stosunku do własnego zakulisowego życia za gwiazdkowe zabawki, dawane grzecznym dzieciom.

— I wiesz? — zdobyła się wreszcie na szczyt odwagi pani Zosia. — Znając twoją poczciwość, nie pytając o radę, wiesz, co uczyniłam?

— Bardzo jestem ciekawy — od-rzekł trochę z wysoka, rozbrojony jej naiwnością, tem większą, o ile porównywał ją z własnem grzechami.

— Zaprosiłam go dziś na obiad.

— Tak odrazu? — żarcikował, strawiwszy bardzo lekko nadzieję ujrzenia po wielu latach brata, co do którego niechęć może już zagasła, lecz który dziś stanowczo ani go bardzo grzał, ani ziębił.

— Tylko bardzo cię proszę, mój Henryku — źle ukrywała radość z powodu tak pomyślnie załatwionej delikatnej sprawy, — abyś się na obiad po swojemu nie spóźnił, tembardziej, że wzięłeś na dziś łożę na operę. Pamiętasz o dzisiejszym teatrze?

— Naturalnie.

Służący meldował, że proszą pana doktora do telefonu.

— Ach! Wiecznie ci pacjenci! Chwilę spokoju nie dają — żaliła się przed matką pani Zosia.

— To ja — mówił do tuby telefonicznej Hórski, nie łudząc się, kto do niego zwraca się, i uśmiechnięty, szczęśliwy — wchłaniał w siebie wpływające mu do uszu nonsensy miłosne, słodkie, jak pocałunki, drażniące, jak sama pieśczoła. — Ależ obiecałem — wrzucił w tubę usprawiedliwienie — że pójdę dziś z żoną do teatru. Mamy już bilety. Co? Nie wolno już mi z żoną chodzić do teatru? Ha! ha! Nie wiedziałem. To ładnie takie zarzuty mi czynić! No, no! Nie grymasić! A więc dobrze! Nie pójdę do teatru. Ach! ty ty!... Cahusy! Ha, ha! Dowidzenia — rzucił trąbkę telefoniczną.

Po długiej chwili wyczekiwania wrócił z nową decyzją do jadalni.

— Obiecuje ci dziś najsolemniej z powodu urządzonej przez ciebie rodzinnej uroczystości stawić się punktualnie na obiad. Natomiast co się tyczy dzisiejszego teatru, zawiadomiono mnie w tej chwili o posiadzeniu w Towarzystwie higienicznem, na którym mam prezydować. Pojmujesz, że nie mogę im sprawić zawodu.

— A co będzie z łożą? Przecież nie mogę sama z mamą iść do teatru?

— Romek jest na obiedzie. Może później iść z wami do łoży — rozciął trudną kwestję w nagłem natężeniu Hórski.

— Ha! Jeżeli będzie miał czas! — zgodziła się odrazu pani Zosia, z rumieńcem, który — niewiadomo, czemu, twarz jej odrazu rozświetlił.

— Cóż on ma lepszego do roboty! — zdecydował uszczęśliwiony swoim pomysłem Hórski.

XXII.

Romek stał się już teraz stałym, częstym gościem w domu brata. I pani Zosia jaśniała całą pogodą zadowolonia, uszczęśliwiona swoją rolą roztaczania różdżki oliwnej w rodzinie.

Chodziło o ocalenie marnotrawnego brata, który faktycznie odżył pod jej skrzydłami opiekuńczemi.

Uniwersytet z powodu okoliczności niezależnych od niego — musiał wraz z wieloma kolegami opuścić. A teraz po kilku zmarnowanych latach zapóźno już było udawać się na studia zagraniczne. Chodziło więc o wyszukanie posady, dającej stanowisko i przyszłość, bardziej określoną od dotychczasowych jego prowizorycznych korepetycji.

Pani Zosi udało się wyrobić mu miejsce w biurze towarzystwa asekuracji.

Romek, zagustowawszy w systematycznym trybie życia, zaprzestał uważać się za beznadziejnego, chybionego wykolejenca.

Zawdzięczając jej wskazówkom, urządził sobie schludną garsoniere; wyekwipował się i ubrany starannie — za jej poradą poskładał wizyty u wspólnych dalekich krewnych i znajomych.

Zaczął żyć życiem normalnem. Wiele czytał, chodził na odczyty, na wystawy Zachęty, na dobre symfonie, dobre opery i dobre tragedje.

Wszystkie dawne tęsknoty, wszystkie zwątpienia, cały chaos bezcelowego życia — jakby naraz znalazł w jego duszy odpowiedź.

A odpowiedź była tak prostą, że aż się zadziwił, iż odgadnąć jej dotąd nie mógł: Oto życie jest danem człowiekowi po to, aby był szczęśliwym. To takie proste, jak życie całe, które jest piękne i wcale nie tak skomplikowane, jak ludziom, którym jest źle na świecie, wydaje się.

Rano praca, wieczorem odpoczynek i zabawa. Ot i cała zagadka życia, prosta jak bułka za dwa grosze. A potem sen spokojny i pokrępiający. Czyż to nie rozkosz?

Poubił ten swój deptak codzienny, może dlatego, że jej go zawdzięczał. Przestała go razić obłuda i oziębłość świata; nie uganiał się za prawdą; nie filozofował o celu istnienia.

Zamarły w nim ambicja sławy, kariery, obawa przyszłości, pogardzanie własną małością,

Zdawało mu się, że cały świat zmieniał swoją dawną zasłonę: mglisto-czarną na różową, w którą naraz tak pięknie udrapowali się wszyscy bez wyjątku ludzie, wszyscy naraz tacy dobrzy, mili, pogodni i szczęśliwi, jak on sam!

I nucił podczas roboty w biurze; gwizdał, wracając do domu, i zasypiał z uśmiechem na ustach. Bawił go teraz cały kalejdoskop codziennego życia; wszystkie godziny dnia, wszystkie pory roku, jedna piękniejsza od drugiej.

— Wie pani, najlepiej lubię wiosnę i jesień — zwierzał się Zosi.

— A lato czy brzydkie? A zima?

— Prawdą! Lubię także i lato; no, i zimę.

Roześmieli się oboje. Miał teraz stałe humor, jak w ów pierwszy wieczór w Jędrzejewicach, kiedy go poznała.

Lecz nie! Wtedy to był żakowski kabotynizm, świergot ptactwa, udającego, że śpiewa, nie wiedzącego jeszcze, iż mu jest na świecie dobrze.

Teraz dopiero delectował się swoim szczęściem, jak wytrawny smakosz, który zna się na tem, co mu kucharz podaje; bo i złej kuchni już kosztował i wie, dlaczego mu ta obecna smakuje.

I pani Zosia nie była już wylekłem, nierozwiniętym pisklęciem. Dopiero teraz po raz pierwszy zaczęła czuć się młodą i szczęśliwą, jak gdyby zdając sobie już sprawę, że małżeństwo nie jest ostatnią kartką księgi życia i że wogóle nie jest jeszcze całym życiem.

Poza kilkoma godzinami na dobie, jakie z mężem spędzała — był jeszcze cały świat z celami, zagadkami, bólami i radościami, wśród których o mężu dość znacnym i pocziwym wcale nie myślała.

Były przed jej oczami choćby te cztery pory roku z ubrylantowaną bielą śniegu, to ze świergotem ptactwa, które ją rankiem na wiosnę ze snu budziło; to z bujną zielenią ogrodów; to całą w popielatych mgłach i oparach dżdżystej jesieni.

Były wschody słońca, było złoto południa, zaróżowienia zachodu, cudne szare godziny i zmroki. Było

całe życie, takie cudne, takie wielkie, takie dobre, takie kochane.

To nie było zmianą zasłony różowej zamiast dawnych całunów, jak w egzaltacji Romka. Nie! Świat był pięknym, bez żadnych szkiełek różowych, sam przez się.

Przecież kwiaty same przez się są barwne, słońce — złote, księżyc — srebrny, rosa z pereł a niebo — z turkusów! Przecież ludzie sami przez się są dobrzy. Należy tylko na nich patrzeć dobrymi, zdrowymi, szczęśliwymi oczami.

Nuciła teraz od rana do zmroku. Lubiła swoje mieszkanie, każdy mebel, każdy kąt z osobna; lubiła służbę, która za nią przepadała. Lubiła wszystkich.

Miała bezwiedne uczucie, że jest narzeczoną. Ani na sekundę nie wpadła jej myśl badania przyczyny tej metamorfozy.

Niebawem miał się odbyć w salach reutowych kiermasz na wpisy szkolne. Zaproszono ją na sklepową. Lecz ona ofiarowała się urządzić sklep własny.

Huk roboty ją czekał. Jej dyletanckiej talent intarsji przydał się nareszcie do czegoś! Wypaliła bez liku pudełek do rękawiczek, do biżuterii, moc stolików, parawaników, do których wzory wyrysował jej bardzo artystycznie Romek.

Zaprzęgała też do haftów i ręcznych robót i matkę, mademoiselle i Romka, który wykończył jej całe stopy akwarel na pocztówkach i udekorował malowidłami drewniane talerze, ramki do fotografii, palety i wachlarze.

Pracowali wieczorami razem. Matka i mademoiselle z szydełkami; on i dwoje z ołówkami i farbami. A co żarcików przytem było, a co sprzeczek, komeraży!

Ani postrzegli, kiedy chwila rozstawania nastawała — owianą ową błękitną gazą, która tak cudnymi barwanymi ubiera najprostsze zdarzenia i z taką dyskrecją usuwa ciemne strony refleksji i sceptycyzmu.

Lecz Romek bardziej od niej uświadomiony — budził się nieraz wśród pięknych snów w nocy z jakimś tępym zgrzytem, podobnym do bólu zęba.

Ale młodość była silniejszą od tej choroby zdawania sobie sprawy z rzeczywistości; i przewracając się na drugi bok, zasypiał wnet z młodzieńczym zadowoleniem życia.

— Niema słońca bez plam! Trudno! Jeżeli nawet coś cię boli, należy nie myśleć o cierpieniach. Voilà!

Nareszcie nadszedł dzień otwarcia kiermaszu. Dekoracja sal, za-

wdzięczając gustowi uproszonych artystów — faktycznie bardzo się udała.

W rzeszystem oświetleniu żyrandoli, jaśniały w jarzących złotych i srebrnym prądach światła — szeregi fantastycznych namiotów w swoich jaskrawych, różnokolorowych odcieniach — aż oczy trzeba było mrużyć.

Aby silniej jeszcze obuchem barw cały tłum zalać — pozawieszano wśród tej lawy srebra, złota i czerwieni — w dodatku całą orgię różnokolorowych chińskich lampionów, klócących się z krzykliwymi chorągwiemi ścian, które udekorowano wściekle śmiesznej karykaturami znanych warszawskich sław teatralnych, literackich i malarskich.

Umieszczone na galerji orkiestry — zalewały ogłuszającą falami dętych instrumentów niezliczone tłumy ludzi.

Chmary te w zupełnym ogłupieniu od tej powodzi barw, światła, zapachów i dźwięków deptały sobie po piętach wśród tłumy sprzedających kwiaty i programy krakowianek, białoperukowych markiz i cudackich w bibułkowych kostjumach arlekinów, rycerzy i półbogów.

Cel chaosu był osiągnięty, ponieważ publiczność w transie — nie wiedziała, której orkiestry słuchać, do której estrady z różnymi popisami się zbliżać i którym sklepom się przypatrywać?

W ciągłej tułaczce i poszukiwaniu jeszcze silniejszych wrażeń — badała sklepy, udekorowane festonami, draperjami, gobelinami, wśród których przy pokrytych dywanami stolikach o nieodłącznych czteroramiennych kandelabrach — kwestowały przy srebrnych tacach — damy z wielkiego świata i z mniejszego; z całego świata i z pół świata.

Przy bufecie, nęcącym pięknościami teatralnymi, w takim obłędzie, że szpilka by się już nie zmieściła — piękna panna Messal sprzedawała na kieliszki wino szampańskie. A dokoła niej gapiąca się młodzież, kobiety i starcy, jakby zamagnetyzowani jej fascynującym uśmiechem — stali w bezmyślnym ośłupieniu, pchani przez tłumy nowych przybyszów, ukazujących ją sobie palcami.

— Patrz! Messal! Widzisz? To ona napewno! Messalka!

I z wielkim trudem przedostawano się z tego ścisłu do innych sklepów, wyjątkowo dziś ożywionych, z coraz więcej powiększającą się na tacach ilością złota, srebra i banknotów. Damy promieniały. Na

wszystkich twarzach jaśniał uśmiech tryumfu.

Kiermasz się udał.

Sklep pani Zosji był już prawie pusty. Porozprzedawano już najbrzydsze pocztówki; nawet robótki Hali znalazły nabywców. Pani Zosia miała uczucie, że wyrosły jej skrzydła, że jest jakąś dobrą boginką, rozdającą dokoła szczęście, że, zawdzięczając jej — nie będzie już ani głodnych, ani bezdomnych i promieniała, jak dziecko.

Faktycznie jeszcze nigdy tak piękną nie była, jak dziś w swojej białej sukni, w kapeluszu z habrami.

Jej subtelna uroda nikłej blondynki o typie anglosaksońskim, z jasnymi włosami, z alabastrową, zlekka zaróżowioną twarzączką o podłużnych oczach koloru morza i o regularnie narysowanym nosku — zwracała ogólną uwagę. Jakiś dowcipniś rzucił głośno epitet, zdrobniający z polska angielską nazwę miss:

— Patrz, jaka śliczna miseczka!

— To doktorowa Horska. Milutka, jak panienka!

Romek pracował dziś w sklepie, jak urodzonemu subiekutowi handlowemu ani się śniło. Biegał po drabinię po resztki niesprzedanego jeszcze na wyższych półkach towaru i zachęcał ustawicznie do kupna, nawołując podniesionym głosem, jak na jarmarkach:

— Bez karoty! Niżej kosztu! Pocztówki, ręcznie malowane po ru-

blu, po rublu. Ceny solidne, stałe, za bezcen!

Pani Zosia pisała kartki do kasy; pani Polewska odbierała pieniądze, a mademoiselle pakowała sprzedane towary. A sklep ich był w ciągłym obłożeniu. Aż im ręce padały ze znużenia.

Pani Zosia miała wrażenie, że się bawi z Romkiem „w państwo“. Ta ulubiona jej zabawa z czasów dziecięcych polegała ongi na naiwnym udawaniu dorosłych.

Chwilami zdawało się jej, że jest faktycznie małą kupcową, i że wraz ze swoim młodym małżonkiem pracuje na dorobku, we własnym sklepiku; a że jutro dopiero w niedzielę wraz z nim odpocznie po pracy i razem pójdą na podwieczorek do mleczarni w aleję!

Jakaś stojąca przed ich sklepem mała dziewczynka zapaliła się do jakiejś pocztówki.

— Po rublu, po rublu sztuka! — zachęcał dziecinnie do kupna niezmordowany dziś Romek.

Cena ta wydawała się panience wygórowaną, aż się pani Zosia nad nią ulitowała.

— Możemy wyjątkowo ustąpić pół rubla.

— Niech pani sklepowa nie psuje klientelę — strofował ją bardzo pociesznie Romek — bo nie będzie pani miała jutro „wychodnego“.

— Niech pan pryncypał siedzi

831
cicho! — rzuciła mu na stronie pani Zosia i poczęstowała na odchodnym klientkę czekoladkami.

— To na dodatek. To już nie nie kosztuje.

We wspianym sklepie księżny Ireny panowała atmosfera ołowiana.

Pod konwencjonalnym uśmiechem — księżna maskowała bardzo zły humor. Czula doskonale, że nie miała dziś powodzenia. Czyniła odpowiedzialnymi wszystkich: i Douceta, któremu sprowadzona z Paryża dzisiejsza toaleta jej nie udała się. I tapicera, który zupełnie jej nie zadowolnił.

Faktycznie, pomimo cennych autentycznych wschodnich haftowanych materji i starych gobelinów — dekoracja namiotu nie udała się; a agent, który zaopatrzył cały własny sklep księżny w tak zwaną „galanterję“ — poprostu oszukał ją: Wszystkie wazon-y, couvre-pôty, blok-paper'y i nesesery — okazały się taką tandetą, że księżna nie śmiała do nich zachęcać kupujących.

Nie śmiała i nie miała humoru. Czula jedno: Znała z najmłodszych lat historyczny gust Warszawy, która przyjezdnych ziomków z obcą zagraniczną marką podnosi odrazu pod niebiosy; a następnie bardzo prędko zrzuca z piedestału, jeżeli olśnieni tą łaską zechcą dłużej w syrenim grodzie zamieszkać.

Dalszy ciąg nastąpi.

ROMAN KRECZMAR.

LEGENDA.

*W szklanym grobowcu, na szczytach, pod niebem
Na sen złożonej — warta duchów strzegła.
A lud Jej wierny nie uczcił pogrzebem
I o uspiętej marzył: „Niepodległa...“*

*I szedł pielgrzymką wśród krwi i burz wycia
W błędej Jej twarzy szukać iskry życia.*

*Z oddechem, w piersi rwącym się od trwogi,
Z rozpaczą zwątpień, z kagankiem nadziei
Szedł przez piekielne tej pielgrzymki drogi,
Krwawemi stopy znacząc szlak kolei,
Gorącym czołem do trumny przypadł
I, milcząc, całą siłą duszy — badał...*

*O, jakże wtedy oczyma zawisał
Ponad przepaścią bezdenną rozpaczy —
O, jakże myśli pod niebo kotysał,*

*Że dziś usłyszysz, że oto zobaczysz...
O, jakże strasznie w tej niemej rozterce
I zamierało i tętniło serce!*

*...Wracał — a za nim słońce na niebiosach
I modra jasność po łanach i chatach;
I więcej woni było w ziemi kwiatach
I więcej złota było w ziemi kłosach.
A zaś powietrzem rozgranem wieść biegła,
Że się obudzi wkrótce — Niepodległa.*

*Że, gdy wytrwale pielgrzymować będą
I onej krwawej nie zapomną drogi,
To, co im było najświętszą legendą,
Wniosą w dębowe swojej chaty progi —
I każda belka, każda grobu cegła
Wstrząśnie się kiedyś: „jest już — Niepodległa!“*

W oczach Zachodu.

36

POWIEŚĆ

— Ha! Awangarda wielkiego spisku — mruknął sam do siebie. — Filary wielkiego przewrotu, mającego wstrząsnąć i zmienić do gruntu podstawy milionów istnień, dla tego, by Piotr Iwanowicz został głową Państwa.

— Przekomarzasz się pan ze mną — rzekła. — Nasz ukochany rzekł mi kiedyś, bym pamiętała, że ludzie służą czemuś zawsze większemu od nich — idei.

— Nasz ukochany — powtórzył zwolna i z wysiłkiem... Ach... brat pani!... Ale w twoich ustach to dźwięczy... Bo istotnie wszystko w pani jest boskie... Chciałbym znać najgłębsze tajemnicę pani myśli, pani uczuć.

— Ale dlaczego, Kyrilo Sidorowiczu? — zawołała przestraszona temi słowami, wychodzącymi tak dziwnie z jego jakby martwych ust.

— Nie lękaj się pani. Nie zdradziłbym cię. Więc poszłaś tam... A Zofja Antonówna coś ci powiedziała?

— Bardzo nie wiele. Wiedziała, że pan powiesz mi wszystko. Spieszyła się bardzo.

Panna Haldin umilkła i po chwili wyrzekła smutno:

— Tamten odebrał sobie życie.

— Powiedz mi pani, Nataljo Wiktorowno — zapytał — czy wierzysz w wyrzuty sumienia?

— Co za zapytanie?

— Tak, to prawda, co panj o tem wiedzieć możesz — mruknął zdławionym głosem. — To nie dla takiej, jak ty... Chciałem tylko zapytać, czy wierzysz w skuteczność wyrzutów sumienia?

Zawahała się, jakgdyby nie zrozumiałwszy, poczem twarz jej rozpodogodziła się.

— Tak — rzekła stanowczo.

— A więc dostąpił rozgrzeszenia. Ale ten Ziemianicz to było pi-jane bydlę.

Wzdrygnęła się.

— Ale to był człowiek z ludu — ciągnął dalej Razumow — tego ludu, któremu rewolucjoniści opowiadają bajkę szczytnych nadziei. Ludowi trzeba wybaczyć... A pani, także nie wierz wszystkim, co słyszałaś z tego źródła — dodał posepnie.

— Pan coś kryjesz przedemną! — wykrzyknęła.

— Czy pani, Nataljo Wiktorowno, wierzysz w obowiązek odwetu?

— Posłuchaj, Kyrilo Sidorowiczu. Wierzę, że przyszłość będzie miłosierną dla nas wszystkich. Rewolucjonista i reakcjonista, ofiara i kat, zdrajca i zdradzony, wszyscy dostąpią miłosierdzia, gdy wreszcie światło błysnie na naszym ciemnym niebie. Miłosierdzia i zapomnienia, gdyż bez tego nie może być ani pojednania, ani miłości.

— Słyszę. Więc żadnego odwetu? Nigdy? — uśmiechnął się gorzko bezbarwnymi ustami. — Pani sama jesteś, jak wcielenie tej miłosiernej przyszłości. Dziwna rzecz, że to nie ułatwia... Nie! Ale przypuśćmy, że prawdziwym zdrajca twego brata — Ziemianicz miał w tem także udział, ale mało znaczący i całkowicie bezwiedny — przypuśćmy, że to był ktoś wykształcony, umysłowo pracujący, ktoś, komu brat panj lekko-myślnie zawierzył... Ale to cała historia...

— I pan ją znasz! Więc czemuż...

— Słyszałem ją. Wchodzą tu w grę schody i widma, ale to mniejsza o to, skoro człowiek zawsze służy czemuś większemu od siebie — idei... Ciekawym tylko, kto jest większą ofiarą w tej całej historii.

— W tej całej historii — powtórzyła panna Haldin machinalnie.

— Wiesz pani, dlaczego przyszedłem do ciebie? Oto prosto dlatego, że na tym całym wielkim świecie nie mam nikogo, do kogo mógłbym pójść. Rozumiesz to pani? Nikogo. Pojmujesz pani całą rozpaczliwość tej myśli? Ni-ko-go!

Wciąż jeszcze pod wpływem tych paru wierszy w liście zapalonego marzyciela, niepojmująca, do czego ten stojący przed nią młodzieniec tak wyraźnie przecieżył, widząc tylko, że cierpiał strasznie, chciała już wyciągnąć do niego rękę, gdy Razumow znów zaczął mówić:

— Gdym panią tylko zobaczył, wiedziałem, że tak będzie. Wyrzuty sumienia, zemsta, nienawiść, gniew, strach, wszystko to jest niczem w porównaniu z tą straszliwą pokusą, jaką postawiłaś mi na drodze, gdyś mi się ukazała z tą twoją twarzą, z tym twoim głosem, w ogrodzie tej przekłętej willi.

Popatrzyła na niego zupełnie oszołomiona.

— Ależ ta historia, Kyrilo Sidorowiczu, ta historia!

— Nie mam nic więcej do powiedzenia. — To się kończy tu, na tem miejscu!

Palcem dotknął własnej piersi i zamilkł.

Podbiegłem, chwytając po drodze krzesło w samą porę, by posadzić na niem staniającą się pannę Haldin. Razumow stał i patrzył na nią z jakimś wprost przerażającym spokojem. Wstręt, zdziwienie, odjęły mi na razie mowę. Wnet jednak zwróciłem się ku niemu.

— To ohydne! — wyszeptałem zdławionym z wściekłości głosem. — Czemu pan tu jeszcze stoisz? Idź!

Nie poruszył się.

— Czy nie rozumiesz, że obecność twoja jest nie do zniesienia nawet dla mnie? Jeżeli jest w tobie choć odrobina wstydu...

Posępne jego oczy zwróciły się zwolna na mnie.

— Zkąd się ten stary tu wziął — mruknął ze zdumieniem.

Nagle panna Haldin zerwała się z krzesła, postąpiła parę kroków i zachwiała się. Zapominając o mojem oburzeniu, pośpieszyłem jej na pomoc, i wzięwszy pod rękę, zaprowadziłem do saloniku. Zdała od lampy w cieniu błądy profil pani Haldin, jej ręce i cała postać sprawiały wrażenie jakiegoś malowidła. Miss Haldin przystanąła i tragicznym ruchem wskazała na matkę.

Posadziwszy biedną dziewczynę na sofie, zawróciłem, by zamknąć drzwi i w obramowaniu ich, na tle jasno oświetlonego przedpokoju spostrzegłem Razumowa, który stał jak wrośnięty przed pustym krzesłem. I gdym patrzył na niego, ogarnęło mnie zdumienie, że ta tajemnica może, którą wydarła mu z duszy, to straszne wyznanie, nie zmiądzło jednocześnie jego ciała. Nagle Razumow pochylił się, porwał żalobny welon panny Haldin, leżący na ziemi i przyciskając go obu rękoma do twarzy, jak szalony, wybiegł na ulicę. Coś — zapewne niesłychanie zdumienie — wilgotną mgłą przysłoniło mi oczy.

Trzaśnięcie frontowych drzwi opamiętało mnie. Chwyliłem Natalję Haldin za ramię.

— Ten nędznik zabrał panj welon — krzyknąłem przerażonym głosem. — Ten...

Nie dokończyłem. Cofnąłem się i spoglądałem na nią z milczącą grozą. Siedziała nieruchoma, z rękoma opuszczonemi bezwładnie wzdłuż ciała. Zwolna podniosła na mnie swe szare oczy.

— Nie można być nieszczęśliwszą — szepnęła bezzwzięcznie. — Nie można. Czuję, że zamiast serca mam w piersi kawał lodu.

IV.

Razumow poszedł prosto do domu. Burza rozpętała się nad jego głową; deszcz lał strumieniami; błyskawice ślizgały się raz po raz po milczących domach i pozamykanych sklepach ulicy de Carouge; a po każdym takim błysku dawał się słyszeć grzmot; największa jednak siła nawalnicy skupiła się w dolinie Rodanu, jak gdyby gardząc tem szamowaniem, beznamietnem schroniskiem demokratycznej wolności, tem miastem posępnych hoteli, udzielających jednakiej obojętnej gościny turystom wszelkich narodowości i międzynarodowym spiskowcom wszelkich odieni.

Właściciel sklepu gotował się już do zamknięcia, gdy Razumow wszedł i nie wymówiwszy słowa, wyciągnął rękę po klucz od swego pokoju. Gospodarz miał już na ustach żarcik o używaniu powietrza podczas burzy, ale spojrzawszy na twarz swego lokatora, poniechał go i tylko, aby coś powiedzieć, zauważył:

— Bardzo pań zmokłeś,

— Tak; przemokłem do nitki — mruknął Razumow i wewnątrz drzwiami skierował się na schody, wiodące do jego pokoju.

Nie przebrał się, lecz zapaliwszy świecę, wyjął zegarek, położył go na stole i zasiadł bezzwłocznie do pisania. I po raz pierwszy w tym tak bardzo kompromitującym go pamiętniku objawił wyraźne pragnienie, by go ktoś przeczytał, by ta spowiedź jego duszy, która z początku była jedynie wynikiem bezwiednej potrzeby wywnętrzenia się choćby przed kawałkiem obojętnej papieru, przeszła w czyjąś duszę, duszę jedyną, ubóstwianą (użył tego określenia), która od pierwszej chwili poznania oczarowała go i ujarzmiła.

„...Najufnierze oczy na świecie“ powiedział swój brat, gdy był już tak dobrze jak umarłym — pisał Razumow. — „A gdyś stanęła przedemną z wyciągniętą ręką, przypomniałem sobie te słowa i dźwięk jego głosu, spojrzałem w twoje oczy i to wystarczyło. Wiedziałem, że coś się stało, ale nie wiedziałem wtedy, że... Nie tłumacz sobie tego błędnie, Nataljo Wiktorowno. Byłem głęboko przekonany, że niema w mojej piersi nic prócz bezdennej złości i nienawiści dla was obojga. Przy-

pomniałem sobie, że widziałem w tobie jakby dalsze trwanie swej wizjonerskiej duszy. On, który okradł mnie z mojej pracowitej, celowej przyszłości. Ja również miałem swoją przewodnią ideę, a, pamiętaj pani, że u nas trudniej jest wieść pracowite, owocne życie, niż wyjść na ulicę i zabijać z przekonania. Ale dosyć o tem. Tak, czy inaczej, poczułem od razu, że choćbym nie wiem jak unikał pani, obraz twój będzie mi stał zawsze przed oczyma; pójdzie zawsze za mną. I mniemałem, że to „on“ tą drogą prześladować mnie będzie. Później dopiero... pojąłem... dopiero dziś; dopiero przed paru godzinami. Skądże mogłem wiedzieć, co dało mi duszę na strzępy?... Pani sądzonym było odrobić zło, naprowadzić mnie na drogę prawdy i spokoju! Tak; pani! I uczyniłaś to w ten sam sposób, w jaki on mnie zgubił: darząc mnie swoim zaufaniem. Tylko to, za co znienawidziłem jego, w pani wydało mi się szlachetnem i wzniosłem. Ale, powtarzam, nie ludź się pani. Zło opanowało mnie całkowicie. Rad byłem, żem doprowadził tamtego nieszkodliwego głupca, by ukradł ojcu pieniądze. Był głupcem, ale nie był złodziejem. Jam z niego zrobił złodzieja. Tak być musiało. Musiałem utwierdzić się w mojej wzgardzie i nienawiści, dla której zostałem zdrajcą. Żaden socjalny demokrat nie zniósł piekielniejszych mąk nad te, jakie ja wycierpiałem. Żmie próżności, zazdrości, haniebnych pożądań, zemsty, kasały mi serce. Okradziono mnie ze wszystkiego: z bezpieczeństwa, z pracy spokojnej i pożytecznej, z najlepszych nadziei na przyszłość“.

„Posłuchaj pani — teraz wyznam ci całą prawdę. Tamto to było jeszcze nic. By mnie zbawić, twoje ufne oczy musiały zaprowadzić mnie na sam brzeg najczarniejszej zdrady. Widziałem je, patrząc na mnie wciąż z tą wiarą twego czystego serca, którego żadna zła myśl nie dotknęła nawet. Wiktor Haldin okradł mnie z prawdy mego życia, mnie, który nie innego na świecie nie miałem i chełpił się zmartwychwstaniem w twojej osobie przedemną, dla którego nie było na tej ziemi miejsca, gdzie bym złożyć mógł głowę. „Pójdzie kiedyś za męża“ — powiedział. I wiesz, pani, co sobie rzekłem? Ukradnę duszę jego siostry. Gdyśmy się spotkali po raz pierwszy w parku, a pani mówiłaś do mnie z taką szczerością, myślałem: „Tak; on sam, mówiąc o jej ufnych oczach, wydał ją w moje ręce“. Gdybyś pani mogła była zajrzeć wtedy w moją

duszę, byłabyś krzyknęła ze wstrętu i zgrozy“.

„Może nikt nie uwierzy w możliwość takiej nikczemności. To prawda, że gdyśmy się wtedy rozstali, ja rozkoszowałem się tą myślą, rozważałem, w jaki sposób wprowadzić ją w czyn. Ten stary Anglik, którego mi pani przedstawiłaś, napał się iść ze mną. Nie wiem, kto on taki. Mówił mi o pani, o twojej samotności, a każde słowo tego twego przyjaciela podlegało mnie do tej potwornej zbrodni ukradzenia pani duszy. Czyżby to szatan przybrał postać starego Anglika? Nataljo Wiktorowno, mnie opętał szatan! Przychodziłem codziennie patrzeć na ciebie i pić w twojej obecności truciznę mego nikczemnego postanowienia. Ale przewidywałem, że to nie pójdzie łatwo... Aż tu Zofja Antonowna — o której istnieniu zapomniałem zupełnie, zjawia się z tą opowieścią z Petersburga... Tego właśnie, czego mi było potrzeba, by mi zapewnić na zawsze wiarę u tych ludzi“.

„Zdawać się mogło, że Ziemianicz powiesił się jedynie dla tego, by mi dopomóc do dalszej zbrodni. Potęga fałszu stała się niezwykłą... Nataljo Wiktorowno! Ja uległem jej... Któż by się zdołał oprzeć! Ty sama miałaś być nagrodą. Siedziałem sam w moim pokoju, układając plany na przyszłość, które teraz przejmują mnie dreszczem... Ale w danej chwili tonąłem w nich... Tylko coś mnie chwyciło raz po raz za gardło, jak gdybym się dusił. A przytem, bałem się twojej matki. — Jest coś w samym dźwięku jej nazwy... Jam swojej nigdy nie widział... Mnie nikę nigdy nie kochał... Czy ty rozumiesz, co to znaczy?... Ciebie nie lękałem się... przebac, że ci to mówię. Nie! nie ciebie. Byłaś samą prawdą. Nie mogłaś mnie podejrzewać. Co się tyczy twojej matki, sama mówiłaś mi, że umysł jej obłąkał się z rozpaczy. Któż by uwierzył czemukolwiek, przeciwko mnie? Alboż Ziemianicz nie powiesił się z wyrzutów sumienia? Powiedziałem więc sobie: „Zróbmy próbę i skończmy z tem raz na zawsze!“

„Drżałem, gdy mi wchodził, ale matka twoja zaledwie słyszała, com do niej mówił, a wkrótce potem zapomniała o mojej obecności. Siedziałem, patrząc na nią. Nic już nie stało pomiędzy mną a tobą“.

„Byłaś bezbronna — a wrędcę, bardzo prędko, miałaś zostać samą. Myślałem o tobie. Bezbronna. Przez wiele dni mówiłaś ze mną, otwierając mi twoje serce. Przypomniałem sobie te długie rzęsy, oceniające

twoje ufne oczy. A twoje czyste czoło. Niskie, jak czoło posagów — spokojne, nieskałane! Wydało mi się, że z twego czoła padło na mnie światło, wciekając do mego serca i ocaliło mnie od podłości, od ostatecznego upadku. I ciebie także ocaliło. Daruj mi to przeświadczenie. Ale było w twoich spojrzeniach coś, co mówiło mi, że ty... Uczułem, że muszę powiedzieć ci, iż pokochałem cię. A przedtem muszę wyznać całą prawdę... Wyznać, odejść — i zginąć!”

„Nagle stanąłeś przedemną. Ty! jedyna na całym świecie, przed którą muszę wyznać wszystko. Oczarowałeś mnie — wyswobodziłaś mnie z więzów złości i nienawiści, i prawda, jaśniejąca w tobie, wydała prawdę ze mnie. Stało się więc; a teraz, gdy to piszę, jestem zmiażdżony, cierpię jak potępieniec — ale nareszcie — oddycham! A potem ten stary Anglik zjawił się z kądś i krzyczał na mnie jak szatan. Cierpię strasznie, ale nie rozpaczam. Jedno mi tylko pozostaje uczynić. Potem — jeżeli mnie puszczą — umknę i pograżę się w nędzy i zapomnieniu... Wydając Wiktora Haldin, wydałem właściwie siebie samego jaknajnikczemniej. Musisz wierzyć temu, co mówię teraz; nie możesz mi nie wierzyć. Jak najnikczemniej. I to przez ciebie odczułem to tak głęboko. Ostatecznie to nie ja, lecz oni mają za sobą słuszność; ich jest siła niewidzialnych potęg. Niechaj tak będzie. Tylko nie ludź się, Nataljo Wiktorowno! Nie jestem nawrócony. Mamże więc duszę niewolnika? Nie! jestem niezależny — i dla tego zguba jest moim udziałem“

Temi słowy zakończył pisanie; zamknął pamiętnik i owinał go w żałobny welon, który zabrał ze sobą. Następnie zrobił z tego wszystkiego paczkę, owiązał sznurkiem, zaadresował do panny Haldin Boulevard des Philosophes, poczem daleko w kąć odrzucił pióro.

Uczyniwszy to, usiadł i położył przed sobą zegarek. Mógł wyjść teraz; ale godzina nie wybiła jeszcze. Tą godziną miała być północ. Wybrał ją dlatego, że słowa i wypadki pewnego wieczora z jego przeszłości kierowały jego obecnym postępowaniem. Tej samej przyczynie przypisywał nagłą moc, jaką Natalja Haldin nabrała nad nim. „Nie depcze się bezkarnie po widmach“ — mruknął w pierwszej chwili. — „I oto jak mnie ocala“ — pomyślał nagle — „On sam, ten zdradzony“.

Zdawało mu się, że panna Haldin stoi przed nim jak żywa i śledzi

go z nateżeniem. Ale mu to nie przeszkadzało. Skończył z życiem i myślał o sobie z dziwną bezstronnością, jak o kimś trzecim. „Nie miałem ani odwagi, ani dość silnej woli, by stać się łotrem lub wyjątkowo uzdolnionym człowiekiem. Bo któż w Rosji odróżni łotra od wyjątkowo uzdolnionego człowieka?“

Dalszy ciąg nastąpi.



Echa przeszłości.

Skrętnością i pietyzmem w stosunku do przeszłości nikt pewno nie przewyższa mec. Aleksandra Kraushara. Pilnie gromadzi on wszystkie objawy życia kulturalnego Polski, umie te objawy segregować, wydostawać z pod pyłu. Nie pozostawi przytem niczego odlogiem: wszystko zarejestruje, poda do wiadomości publicznej. Rozumie się, że niezawsze spotkać można materiał, rzucający rewolucyjne światło na dotychczasowe mniemania. Pomimo to jednak materiał ten ugruntowuje znajomość faktu czy człowieka, rozszerza krąg naszych wiadomości.

Mec. Kraushar, jako tego rodzaju badacz, jest nieocenionym i skrzętnym gromadźcicielem faktów i wydarzeń, które bezwzględnie pogłębiają naszą świadomość historyczną. Jest on też przecież autorem wyczerpujących monografii, jak „Frank i Frankiści“. Próbował też sił swoich w poezji, pod kryptonimem Alkara. W kilkudziesięcioletnim dorobku swoim posiada całą girlandę prac, które zapewniły mu już mir i szacunek tak wśród specjalistów, jak i czytającej, inteligentnej publiczności.

Obecnie znowu wyszedł tom prac Kraushara p. t. „Echa przeszłości“. Są to, jak mówi autor, „szkice, wizerunki i wspomnienia historyczne“. Pod względem tematów rzeczy te dotyczą literatury, wydarzeń historycznych i naukowych. Stosunkowo najwięcej rzeczy można znaleźć o 63 roku. „Testament powstańca Bogdanowicza“, „Roman Rogiński“, „Rodzina męczenników“ — oto tytuły tych przyczynków.

Tom rozpoczyna interesująca notata o „Zawieruszonym rękopisie Mochnackiego“. Jest to wiadomość, że Mochnacki, będąc na emigracji, napisał drugi tom swojej „Literatury wieku XIX“. Tom ten znajduje się w

rękopisie gdzieś w ziemi poznańskiej. Może ta wiadomość Kraushara przyczyni się do odnalezienia tej cennej pracy. Byłaby to dla dziejów krytyki literackiej w Polsce niezwykle doniosła rewelacja.

„Mickiewicz i Zenajda Księżna Wołkońska“ rzuca też wiele ciekawego światła na stosunek księżny do naszego wieszca. Dla wszystkich znów bezwzględnie ciekawą będzie „Złota księga chłopów i mieszczan polskich“. Jest to spis nazwisk żołnierstwa polskiego, które krwawiło w usługach dla Rzeczypospolitej. O znakomitym polskim socjologu L. Gumplowiczu z notatek mec. Aleksandra Kraushara dowiadujemy się rzeczy nadzwyczaj charakteryzujących go, jako uczonego i człowieka.

Kaliszanom Niemojowskiemu poświęcił autor bardzo skrzętnie opracowany przyczynek, a wyjaśniający ich dolę i niedolę po roku 1830. „Czartoryscy“ mają też swój rozdział w księdze „Ech przeszłości“.

Wspomnienia o Faleńskim muszą zainteresować każdą wrażliwszą jednostkę: mowa tu bowiem o losach poezji polskiej.

Wreszcie każda z prac Kraushara jest cennym nabytkiem świadomości ogólnej. Zebrał ich aż 28 w po każdym tomie, bogato ilustrując. Jest to specjalna zasługa Al. Kraushara. Przechowuje on bowiem plastyczne dokumenty epoki na równi z wiadomościami. Jemu zawdzięczamy zresztą tak miłe i ważne wydawnictwo, jak „Typy i oryginały warszawskie“. Dla znajomości epoki te charakterystyczne rysunki, akwarelki są arcy cenne, rzucają więcej światła, niż niejeden dokument rękopiśmienny.

„Echa przeszłości“ mec. Aleksandra Kraushara należą do najmilszych książek. Czyta się ją z rozrzwinięciem, skupia uwagę i uczy kochać wyblakłe karty przeszłości, obficie krwią i pracą polską przepojone.

Na polu szerzenia zamiłowania do historii mec. Aleks. Kraushar ma wielkie zasługi. Z racji tej zapewne jest prezesem warszawskiego „Towarzystwa miłośników historii“. Książkę swoją zadedykował temu właśnie Towarzystwu na pamiątkę „pierwszego dziesięciolecia jego działalności“ (1906—1916).

Dr. Z. M.

